TYDZIEŃ

polityczny, naukowy, literacki i artystyczny.

Wychodzi co Niedziela numer arkuszowy. — **Rękopisma**, oprócz wyjątkowych razów, nie zwracają się. — **Ogłoszenia** wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą **1** sgr. od wiersza petitowego trzy-szpaltowego. — **Redakcja** w Dreznie.

REDAKTOR

JÓZ. JGN. KRASZEWSKI.

Prenumerata trwa do końca pierwszego kwartału; przyjmuje się u Wydawcy w Dreznie, we wszystkich znaczniejszych księgarniach polskich w kraju i za granicą i w Urzędach Pocztowych. — W Niemczech północnych z przesyłką (oprócz stępla) wynosi ćwierćrocznie **1 talar.**

№ 25. Drezno, dnia 18. Czerwca 1871. **Rok II.**

Treść: Kronika tygodniowa. — Akademija umiejętności w Krakowie. — Korespondencje: Z Rzymu. — Przechadzki po Europie, List z Sycylji. — Nowe książki: O drewne-polskom jazykie do XIV. stoletji. — Rozmaitości. — Skrzynka do listów. — Ogłoszenia.

Kronika tygodniowa.

Dzienniki szwajcarskie, „Times“ i berlińskie organa zachowawcze, przynoszą nam nowe wieści i groźby niebezpieczeństwa od zwolenników komuny paryzkiej a związku *Internationale*, który raczej podbudzonym jest i uzuchwalonym losem paryzkich swych braci, niż onieśmielonym i pobitym. Kwestja społeczna co raz jaskrawiej i straszniej łuną pożarną zjawia się na horyzoncie. Członkowie stowarzyszenia *Internationale* zapowiadają pognębienie stanu średniego, stawią za cel powstrzymanie rozwoju, światła i cywilizacji. Ze swej strony berliński organ zachowawczy ratunek upatruje także w ciemnocie, ubóstwie i zacofaniu a absolutyzmie. Godzą się, jak widziemy, skrajne dążności . . . i łatwiej może porozumiećby mogły, niż się zdaje.

Tylko ci, co stojąc w pośrodku, ani zbytku swobody i rozpasania nie chcą, ani absolutyzmu i ciemnoty — osamotnieni są i najwięcej zagrożeni. — Społeczność europejska i cywilizacija z dwóch stron jest naciskaną — pochód stopniowy, powolny, rozwój normalny ludzkości może być powstrzymanym jednym z tych kataklyzmów nie bezprzykładnych w dziejach, po których wszystko na nowo z gruzów odbudowywać się musi. Zamiast najazdu barbarzyńców, dosyć jest ogólnego ruchu socjalistów, którzy zniszczenie tego co jest, kładną za warunek przyszłości. Lecz, jakeśmy to już mówili, myliłby się kto by w srogiej reakcji i krwawych pomstach widział na to ratunek. Mamy przykład na zwyciężonej krwawo komunie paryzkiej, której żołnierze szli na śmierć z heroizmem niezaprzeczonym, czując, iż on będzie płodnym. Największém uchybieniem rządu wersalskiego było, iż doprowadził walkę do tej ostateczności, mogąc jej uniknąć, a dzikim odwetem aureolę dał męczeńską szaleńcom. Kwestja społeczna tylko przez dobrobyt, przez oświatę, przez słuszną ocenę pracy i podział korzyści rozwiązaną być może. Jeśli na tej drodze, dopóki czas, nikt nie pomyśli o zaradzeniu złemu, — następstwa ciężkie być mogą. Nic nie krzewi idei fałszywych lepiej i skuteczniej nad bezwzględne ich prześladowanie. W każdym kraju ludzie dobrej woli winni się surowo nad obowiązkami swojemi zastanowić.

Bezmyślna i dzika pomsta rządu wersalskiego, namiętne prześladowanie, wyszukiwanie ofiar, krew tysiąca niewinnych kobiet, dzieci, starców, szał zwycięzców, drogo przypłacone być mogą. — Niezręczniej i zgubniej postąpić sobie było nie podobna.

Wszystkie dzienniki powtarzają korespondencje z Paryża, świadczące, że dosyć było imienia Polaka, ażeby w pierwszej chwili być rozstrzelanym, bez tłumaczenia i sądu. Tak zginął Dalewski, stary i uczciwy Szwejcer, poczciwy i utalentowany rysownik Lewicki i mnóstwo innych. — Dzienniki angielskie świadczą, że Jarosław Dąbrowski, który swém pośrednictwem ocalił siostrę arcybiskupa ks. Darboy, w ostatnich chwilach istnienia komuny, miał obrzydzenie ku niej i temu co go otaczało, a zginął wierny raz wziętemu obowiązkowi, odstąpiony przez żołnierzy, sam jeden na barykadzie. — Szuja i tłuszcza obłąkana z jednej strony — z drugiej pijana powodzeniem reakcja bez litości, srożąca się mieczem i ogniem, mszcząca z okrucieństwem zimném — oto dzisiejsza Francja. . . . Reabilitacija Orleanów, ich ukazanie się w Wersalu, najmniejszej nie pozostawiają wątpliwości, iż dni rzeczypospolitej są policzone.

Thiers dowodzi, iż rząd parlamentarny niczem innem nie jest, jak rzeczpospolitą z dożywotnim prezydentem na czele. — Obok tego roboty Napoleońskie nie skończone, ks. Napoleon czynny, a ajenci ex-cesarza krzątają się około ludu. — Wszystko, co tylko odrodzeniu Francji stanąć może na przeszkodzie, zjawia się i występuje — jakby umyślnie powołane — dla dobicia jej. W chwili, gdy kwestja społeczna takiej doniosłości nabiera, — Kościół, który by mógł wpłynąć na jej rozwiązanie, uwikłany w sprawę władzy doczesnej i głównie nią zaprzątnięty, we własne łono rzucił nasienie poróżnienia i rozdziału. Na tém rozdwojeniu katolików zyskują tylko nieprzyjaciele katolicyzmu. — Godna uwagi, iż opozycja w Kościele katolickim niemieckim przybrała groźną postać, ma za sobą zastępy liczne i sformułowała zadanie swe — za które walczyć jest gotową.

Starzy katolicy zebrani w Monachium w czasie zielonych świąt, uchwalili i podpisali zredagowaną przez ks. Döllingera odezwę do katolików niemieckich, w której — odrzucają nowo ogłoszony dogmat, jako zaprowadzający władzę absolutną w Kościele, ofiarują się cierpieć i wytrwać w przekonaniach swoich i odezwę kończą temi znaczącémi słowy:

„Żyjemy nadzieją, iż wynikła obecnie walka, za wyższém zrządzeniem stanie się środkiem, z pomocą którego zdawna upragniona, dziś nieuniknione już reforma stosunków kościelnych, zarówno w ustawach jego jak w żywocie Kościoła dokonaną i urzeczywistnioną zostanie; pokładamy nadzieję w rzeczywistém odrodzeniu Kościoła, tak by w nim wszelka narodowość katolicka, na sobie właściwy sposób, zgodnie z posłannictwem swem cywilizacyjném stała się swobodnym członkiem ciała Kościoła powszechnego, by duchowni i świeccy zgodnie działali wspólnie ku wyrobieniu żywota Kościoła, by naukowo wykształcony i godny episkopat i primatiat znowu Kościołowi odzyskał dawne jego stanowisko na czele cywilizacji — a mamy nadzieję, że przez to odrodzenie siągniemy celu chrześciańskiego rozwoju, mianowicie, że się zbliżym ku zjednoczeniu i połączeniu wszystkich wyznań chrześciańskich.“

Nikt nie zaprzeczy, iż pod wszelkiemi względy przeżywamy ciężką kryzys, która i w naszym bycie narodowym odczuwać się daje. Stanowisko Polaków i Polski w Europie zmieniło się od r. 1864 całkowicie. Straciliśmy i wiele uroku i sympatji wiele — nie zyskaliśmy nic, oprócz tego przekonania, iż dziś od nas samych przyszłość nasza zależy. Na tę prawdę

krwawo zdobytą godziemy się prawie wszyscy, lecz pozostała ona dla nas czysto teoretyczną. W osamotnieniu naszém nic naturalniejszém by nie było nad zjednoczenie, zbliżenie, działanie i pochód w jednym kierunku i duchu. Natomiast mamy obozów, stronnictw, wodzów i przewodników mnogość wielką, żołnierza żadnego, a separatyzm i prafiańszczyzny dochodzą do skrajnego wyrazu. Nietylko, że kraje pod panowaniem różném nic z sobą wspólnego nie mają, lecz pod jednym nawet, wydzielają się jak najzazdrośniej. Dosyć spojrzeć na Galicję wschodnią i zachodnią, na Prusy Zachodnie i Księztwo Poznańskie. — Skrajni ultramontanie, skrajni demokraci, odcienia różne przekonań i pojęć ostatecznie dzielą i rozdrabiają. Wojna dzienników, wojna stanów, wojna pokoleń młodych a starych... ostatki sił nam odbiera.... Organizacji żadnej, anarchija największa.... Tam tylko gdzie silna despotyczna władza całemu społeczeństwu jedne nakłada więzy — pod rządem rosyjskim, najwięcej jest ładu i spojności; gdzie kolwiek zostawiono nam większą swobodę ruchów i myśli, użyliśmy jej na to, by się obrócić przeciwko sobie. Swoboda prassy była nam również zgubną, bośmy jej w miarę użyć nie umieli. — Niestety! jakież to niedojrzałości i jakiego sobkowstwa dowody! To co na korzyść iść miało — dobija. — Patrząc na wybryki prassowe w Galicji, na czczość tych polemik na korzyść osobistości i szajek politycznych, — na zaniedbanie żywotnych istotnie stron sprawy narodowej — krwawi się serce. — W społeczności dojrzałej, cnotliwej i zacnej, gdyby jednego dnia znikła policija, sądy, władze, wcale by się to czuć nie dało, boby żaden członek społeczności tego bezkrólewia nadużyć nie śmiał. Przeciwnie, w kraju zarażonym ciemnotą i zepsuciem, jednej chwili by bez strożów bezpieczeństwa wyżyć nie można. Myśmy poniekąd tak użyli swobody prassy — w Galicji przynajmniej — jakbyśmy dowieść potrzebowali, iześmy do niej nie dojrzeli.

Czy inne też swobody zużytkowujemy właściwie i godnie — to wielkie pytanie. Sprawa oświaty ludu jest dotąd polem popisów i laurów — apostołów i śpiewaczy braknie; jest narzędziem do wyrobku popularności albo jej utrzymania, — ale któż ją sercem ujął i popiera?? Nie wglądajmy bliżej w inne. — Narodowi od lat stu nie władnącemu sobą, wystawionemu na wpływy zgubne — tego rozkładu mimowolnego nawet za winę poczytać nie można — któż wychował te pokolenia? kto dziś je prowadzi, i gdzie dziś nić tradycyj prawdziwie polskich, z których tylko łupiny słów czczych pozostały... aby w nie kładł każdy, kto co zechce.... Jeremijaszowe to skargi na nieuknione pono klęski. Spuśćmy na przyszłość zasłonę.

W Królestwie oprócz nowego prawa prassowego, które ma być rzekomo liberalniejszém, choć w istocie groźném — niewiele się co zwiastuje. — Cesarz dał konsulowi Stanów Zjednoczonych w Warszawie p. Karolowi v. Hoffmann, koncesję na drogę żelazną i rozpoczęcie robót przedwstępnych z Łodzi na Sieradz do Kalisza, z ewentualném przedłużeniem jej do Prus, gałęzią albo od Kalisza na Ostrowo do Leszna, lub z Sieradza na Wieruszowę do Wrocławia.

Warszawa, mimo ulewnych deszczów i chłodów, obchodzi swój karnawał letni, tak się zowie pora św. Jańskich kontraktów, konnych wyścigów, jarmarku na wełnę, loterij fantowych i koncertów. Wyścigów na polach Mokotowskich nie przerwała słota d. 11. Czerwca. Biegały w pierwszym (nagroda zarządu stad rządowych rsr. 500) konie Wodzińkiego, Grabowskiego, Krasińskiego. Ostatni zwyciężył. — W drugim (nagroda zarządu 800 rsr.) z pięciu koni zwyciężył hr. Alfreda Potockiego Mabille. W trzecim (nagroda cesarska 2000 rsr.) wziął prym ogier ks. Sanguszki Cavalier. W czwartym (nagroda miasta Warszawy 300 rsr.) Odetta p. Grabowskiego wygrała — Stateczny ks. Sanguszki z jeźdzcem wraz padł na barjerze. Gonitwa była ze czterema przeszkodami. O drugich wyścigach nie mamy dotąd sprawozdania. — Towarzystwo zachęty do sztuk pięknych ogłosiło konkurs na stypendjum do podróży za granicę, rsr. 200 wynoszące, dla malarzy i rzeźbiarzy.

Warszawa, jak zwyle przy jarmarku wełnianym, ożywiona zjazdem obywateli wiejskich. Orkiestra Bilsego, linochody amerykańscy (z polskiem nazwiskiem), teatrzyk p. Trapszy w Tivoli... zabawiają zgromadzonych, nie licząc w to chodzącego po wodzie p. Chrzanowskiego.

W Galicji cisza wielka i oczekiwanie na spełnienie obietnic, naznaczenie Namiestnika, na autonomiję galicyjską, na błogą erę rezolucji. Delegacja popiera ministerjum, które w sprawie budżetu odniosłszy zwycięztwo, znacznie pokrzepioném zostało. Możemy jednak zapewnić, że co do ugody z Czechami, która tylko na podstawie deklaracji zawartą być być może — płonne są nadzieje porozumienia. — Nie wiemy jeszcze z jakim skutkiem powróciły delegacje w sprawie Akademji krakowskiej i uniwersytetu z Wiednia.

Kraków na małą skalę naśladujący Warszawę, miał swe wyścigi, miał i loterję fantową i deszcz ulewny. — We Lwowie i o tém nie słychać, **Szczutek** tylko gryzie się z **Chochlikiem**, a **Dziennik polski** z **Gazetą narodową**.

Wszystko to niezbyt zabawne — i niewielkiej dla kraju korzyści.

Doszły nas temi dniami trzy pierwsze numera **Gazety literackiej**, której redaktorem odpowiedzialnym jest p. J. Śliwiński, a wydawcami on i p. L. Wisłocki. — Sądziemy, że współudział czynny tak zdolnego pracownika, jak p. Tadeusz Romanowicz, o którym słyszeliśmy, iż należy do redakcji pisma tego, tajonym być nię powinien. Gazeta zwiastuje się dobrze, i oprócz działu krytyki, którym wypełnionym będzie, w innych bardzo jest zajmującą. Powieści: Tajemnice pałacu carów, dla tych co w powieści żywego szukają zajęcia, i obrazów wyrazistych, bardzo będzie pożądaną. W drugim numerze Wspomnienia Ołomuńca p. Tad. Romanowicza, naostatek poważna próba tłumaczenia Elektry p. Hugona Wróblewskiego, listy o Oświacie ludowej, wiadomości o stowarzyszeniach itp. obiecują już dziś, czém będzie Gazeta i dążności jej stawią jasno. Nie będzie to przynajmniej żaden nowy Przegląd, ufundowany dla Trafiki mszami — jak organ dowcipnego ks. Podolskiego.

Dziennik polski mieści obszerny życiorys, zmarłego dnia 1. Czerwca w Tarnowie Franciszka Eliaszewicza, właściciela fabryki machin rolniczych; którego zawczesna śmierć odebrała krajowi w 56 roku życia. Eliaszewicz był rodem z Wołynia. Ledwie piętnastoletni w roku 1830 zaciągnął się z dwóma braćmi do formującego się korpusu Karola Różyckiego. Jeden z nich padł pod Iłżą, dwaj drudzy wyszli do Galicji. Oba oni szukali tu pracy, znaleźli ją i wspomagali nią drugich współbraci. Postępowanie ich zjednało im powszechny szacunek i uznanie. W późniejszych latach ś. p. Franciszek nie mógł pozostać obcym politycznym ruchom w Galicji. W r. 1845 skutkiem tego uwięziony, wraz z bratem do r. 1848 przesiedział w zamknięciu. Ożeniony w r. 1849, założył (dotąd zajmując się gorzelnictwem i budownictwem) fabrykę machin na małą skalę, która pracą jego umiejętną wzrosła i doszła do znacznych rozmiarów. — Rozwinięciu jej pomyślniejszemu tylko ofiarność ś. p. Franciszka, który w roku 1863 przychodził w pomoc formującym się oddziałom Bosaka i innym — stanęła na przeszkodzie, narażając go na nadzwyczajne wydatki. „Dziś te straty, pisze nekrolog, wynagrodziły się już poniekąd, zawsze jednak powodzenie tak pożytecznego i poczciwego zakładu zależy najgłówniej od dalszego poparcia kraju. Do kraju się więc odzywam, (dodaje piszący) słowami serca, w tém przekonaniu, że takowe nigdy u nas nie przebrzmiały bez skutku. Ś. p. Franciszek od dziecka do grobu pracował z całym młodzieńczym zapałem dla kraju, który ukochał bałwochwalczą miłością, pracował wedle zmieniających się czasów i stosunków, zawsze na tém polu, na którem mu się praca wydawała najskuteczniejszą. Był to charakter wzniosły, prawy i szlachetny nad wyraz wszelki — za życia miał cześć i opinję niepodzielną w całej naszej ojczyznie, niech więc kraj po jego śmierci przeniesie je na pozostałych jego ukochanych. Będzie to najwłaściwszy hołd oddany wytrwałej pracy, zacności i cnotom ś. p. zmarłego.“ (Dz. polski. L. Sz.).

W Poznaniu d. 8. Czerwca skończył życie ś. p. Albin Żychliński, b. major wojsk polskich z roku 1831, dziedzic

dóbr Pierska, obywatel zasłużony i powszechnie szacowany, żołnierz waleczny...

„Dz. Poznański“ obiecuje obszerniejszy nekrolog. Eksportacja zwłok przy wielkim udziale publiczności odbyła się dnia 11. Czerwca. Przy złożeniu trumny na wóz żałobny przemawiał „z prawdziwie kapłańskiem namaszczeniem a sercem polskiem“ ks. pastor Otto z Cieszyna. (Dz. Pozn.).

Akademja umiejętności w Krakowie.

O nowej tej instytucji, która po dojrzalszém zastanowieniu się nad celem jej, działaniem przyszłém i znaczeniem, w oczach każdego głębiej badającego — nabiera wielkiej wagi — wspominaliśmy tu parę razy. Za mało, zdaniem naszém, sprawą akademji, w chwili właśnie, gdy się przyszła jej tworzy organizacja, zajmują się pisma nasze. Jak w wielu innych narodowego znaczenia faktach, tak w tym widziemy smutny symptom — apatji dla rzeczy ważnych, a zaprzątania fraszkami. Tém bardziej też poczuwamy się do obowiązku, dopóki głosu nam staje, odzywać się o tém, aby do oceny i podniesienia sprawy się przyczynić. Szczęśliwym trafem winniśmy uczynności osoby, która wymienioną być nie życzyła sobie, niektóre szczegóły objaśniające genezę instytucji. — Towarzystwo naukowe krakowskie, które, jakeśmy mówili, było *de facto* i sprawiało obowiązki akademji nauk, w znaczeniu swojem, co do formy przynajmniej, zachwiane zostało w chwili ogłoszenia ustawy o wolności stowarzyszeń. Ustawa ta równała je z innémi prywatnémi towarzystwami, odebrała mu jego wyjątkowe znaczenie, mogła nawet wpłynąć na odebranie mu zasłużonej sympatji, która do ofiar dlań pobudzała... a ofiarami tylko towarzystwo wszakże utrzymywać się mogło. — Chociaż nosiło ono predykat cesarsko-królewskiego, tak dalece uważały je za prywatne stowarzyszenie, nawet organa rządowe, iż ze szczupłych swych funduszów p o d a t e k z domu przez się zajmowanego opłacać musiało. — Tworzenie się innych, prywatnej inicjatywie byt swój winnych stowarzyszeń, którym nic nie broniło, ani tych sięgać rozmiarów, ani przyswoić sobie tych samych zadań — wystawiało Towarzystwo na współzawodnictwo, które, co najmniej, powagę jego zmniejszać musiało. — Niebezpieczeństwa te stopniowego upadku znaczenia Towarzystwa przedstawiały się naturalnie umysłom poważniejszym, budząc w nich pragnienie zaradzenia coraz widoczniejszemu stanowi rzeczy. — Nie mogło i to nie stać się pobudką do przedsięwzięcia stanowczych kroków ku podniesieniu Towarzystwa w Krakowie, pod bokiem Jagiellońskiego uniwersytetu — iż u-iłowania Rosji ku pochłonięciu wszelkiego ruchu i życia Wszechsłowiańszczyzny i na polu naukowém czuć się dawały. Jako skuteczną przeciw wagę postawić tu Akademję umiejętności, której by powaga, rozmiary, dążności pociągnąć mogły prace naukowe i innych plemion słowiańskich, zwłaszcza pod panowaniem i na granicach Austrji osiadłych — musiało być zadaniem dla ludzi istotnie o przyszłość Słowian troskliwych.

Niech nam tu będzie wolno wtrącić choć epizodycznie to postrzeżenie, iż właśnie stan, jaki dziś opatrznie przedstawia Słowiańszczyzna, z całą rozmaitością języków, obyczajów, stadjów ukształcenia, natury swej — stanowi najwyższą obietnicę dla przyszłości — że ta zbiorowa całość duchowa, w której wszystkie władze przez narody różnie obdarzone są reprezentowane, daje rękojmię najpiękniejszej pracy zbiorowej w przyszłości. — W cóż by się to obrócić miało, ten wielki chór słowiańskich głosów, ta pieśń przyszłości, gdyby żelazna ręka zbiła te różnolite dźwięki w jeden ton, jeden język, jedną ślepą massę, będącą echem jednego z góry ukazu?? — W obec więc centralizacijnych zamachów już rozpoczętych nawet po za granicami swémi przez rząd rosyjski a raczej przez współurzędowy panslawizm — Akademija krakowska na ziemi polskiej więcej niż polska, bo wszechsłowiańska, nabierała niezmiernej doniosłości i znaczenia.

Nie sądziemy, ażebyśmy ten pogląd narzucali tym, którzy pierwsi pomyśleli o przemianie Towarzystwa na Akademiję. Nie mamy dziś jeszcze prawa odsłonić całkowicie genezy faktu tego, którego pierwszémi piastunami i opiekunami byli Dr. Majer i znany z gorliwości swej w tém, czegokolwiek raz chce dokonać, książe Jerzy Lubomirski. Czynnemu zajęciu i przejęciu się wagą Akademji ks. Lubomirskiego, w najznaczniejszej części byt swój ona zawdzięcza, równie jak Dr. Majerowi. Ks. Lubomirski, jeszcze za ministerstwa hr. Alfreda Potockiego, wniósł to i nalegał żarliwie, ażeby hr. Potocki zostawił po sobie pamiątkę krajowi. — Czas i okoliczności nie dozwoliły hr. Potockiemu dokonać dzieła, któremu sprzyjał; a szczęśliwy traf zrządził, iż ministerstwo oświecenia dostało się p. Jireček, od dawna w najlepszych zostającemu stosunkach z ks. Jerzym Lubomirskim, i w rzeczach Słowiańszczyzny tyczących podzielającemu jego przekonania. Hr. Potocki wyrobił w istocie u J. C. Mości list ten, ale dano było go ministrowi Jireček ogłosić, który idei samej i narodowości naszej jest przyjaźnym. — Tak tedy dziś stoi ta sprawa, którą za spełnioną uważać należy, bo idzie li tylko o wykonanie, którego gorliwość Dr. Majera, życzliwość p. Ministra, współdziałanie wszystkich dopełni.

Akademija wyposażoną zostanie przez Cesarza tak, jak przez Niego jest założoną; ale i kraj sam i Galicja też, i, po staremu, ludzie co u nas od obowiązków ofiary nigdy się nie wyłamywali, gdy cel jej widzieli jasno... przyłożą się do zbogacenia, do dania jej środków, jakich wymaga samo jej zadanie polskie i — wszechsłowiańskie.

W przedmiocie znaczenia, celu i środków działania Akademji, znajdujemy w „Gazecie narodowej“ trzy artykuły, które są tak wyczerpujące, iż niemogąc ich tu w całej rozciągłości przedrukować, treść z nich przynajmniej podamy. W artykule pierwszym (183) znajdujemy ogólny pogląd na prace tak zwanych Akademij uczonych, z których francuzka przez Colberta założona była w r. 1666, Berlińska w 1700 według pomysłu Leibnitza, Monachijska w 1759, potem Wiedeńska, Pragska i inne pomniejszego znaczenia. Wiedeńska rozporządza 64,000 złr. rocznego dochodu i ma na swe posługi drukarnię państwa. — Autor artykułu określa jako zadanie Akademji wszelkiej: 1) Ogłaszanie drukiem prac, które są istotnym postępem na polu nauki i wiedzy. 2) Rozpisywanie konkursów. 3) Udzielanie nagród za naukowe odkrycia i badania. 4) Urządzanie wypraw naukowych. 5) Gromadzenie zbiorów. 6) Czuwanie nad czystością języka własnego i powinowatych. 7) Utrzymywanie międzynarodowych stosunków z instytucjami tejże natury za granicą; naostatek 8) Wywalczenie pracą nieustanną należnego narodowi lub plemieniowi stanowiska. W drugim artykule (184) mieści się historija Towarzystwa bardzo szczegółowie zebrana, od pierwszej jego idei sięgającej 1809 r. pierwszego przyjścia na świat w r. 1815, do zmian organicznych statutu w r. 1840 i dni dzisiejszych. Statut nowy 1856 roku stanowi tu epokę, ale byt Towarzystwa jest jeszcze ciągle walką jego zadań z funduszami. — Zasiłek rządowy 300 złr. w. a. jest tak skromnym, iż by się nań i prywatny człowiek mógł zdobyć. — Pomoc Wydziału krajowego dla komisji fizijograficznej (1500 złr.) — ledwie wystarczającą, aby się poruszać mogła.... Pomimo to, Towarzystwo wydawało Roczniki, drukowało dzieła, rozporządzało prywatnémi legatami, które mu nagradzać dozwalały celniejsze wychodzące prace, i nieustannie było czynném; a dokonywało w istocie to, co Akademija powinna — siłą ofiar i poświęcenia. Lecz instytucja oparta na ofierze nieustannej, zatém na ludziach i osobistościach do niej skłonnych, nie mogła mieć rękojmi pewnej przyszłości, i stała duchem raczej niż ciałem.

W trzecim artykule (187) autor, który z bytem Towarzystwa jest jak najlepiej obeznanym i warunki jego widzi jasno — wskazuje ważność Akademji dla kraju i narodu, a uważając ją już za fakt spełniony, powołuje ogół do wzięcia udziału sercem i czynem w instytucji.

„Przyklaskujemy — kończy on — jawiącej się myśli, aby wszystkie reprezentacje krajowe, a Rady powiatowe przedewszystkiem, szły w pomoc nieuniknionej konieczności dalszej budowy domu Towarzystwa, uchwaleniem na ten cel pewnych kwot jednorazowych, i to wcześniej, zanim sprawa przyjścia w pomoc myśli cesarskiej przed sejm wytoczoną będzie. Tym tylko bowiem sposobem wyjść może kraj z całym honorem

w tak doniosłej sprawie, a nie wątpiemy, bo na to mamy już pewne wskazówki, że inicjatywa Rad powiatowych pociągnie za sobą i prywatne ofiary, które ten skutek odniosą, iż instytucja nasza jako Akademija dysponując o wiele większą summą niż dotąd na cele naukowe, nie będzie krępowaną w swoich czynnościach niegodną ciasnotą miejsca, w jakiem się do tej pory mieścić musi Towarzystwo.“

Że to wezwanie bez rozgłosu nie pozostanie — chcielibyśmy wierzyć, pragnęlibyśmy się spodziewać... lecz w tej, jak w innych tego rodzaju sprawach, choćby nawet szło o tę narodową godność, którą czuć każdy powinien — należy wszakże powierzyć kilku czynnym inicjatorom działanie na prowincji, należy poczucie obudzić, należy cel wyłożyć. W Galicji czytają mało, a mimo to, pewni jesteśmy, że żywe słowo wiele uczynić może, gdzie martwa litera ignorowaną lub pominiętą obojętnie być może. Od ludzi wpływu i dobrej woli zależy, by kraj wstydu nie poniósł i obowiązku dokonał.

J. I. Kraszewski.

Korrespondencye.

Rzym, 10. Czerwca.

Zanim przystąpię do dalszego poglądu na sprawę rzymską, winienem, najszanowniejszy Redaktorze, wskazać Ci inne gotujące się dzieło, które prawdopodobnie ukaże się pod panowaniem następcy Piusa IX. i przyczyni się przeważnie do oświecenia umysłów i do uspokojenia sumień. Jestto historja przerwanego Watykańskiego Soboru, przez księdza Wincentego Tizzani, arcybiskupa nizybijskiego. Acz ciemny na ócz oboje, mąż ten był jednym z najbardziej jasnowidzących, z najuczeńszych, z najświętobliwszych Ojców Soboru. Należał on, ma się rozumieć, do soborowej mniejszości. Poddał się, jak wszyscy już niemal dzisiaj członkowie opozycji, postanowieniom większości przez konieczną uległość, aby nie szerzyć rozdwojenia w kościele, aby niezasmucać sędziwego i nad grobem stojącego Papieża, który, jak wszystkim wiadomo, od samego początku ze sprawy nieomylności najwyższych Pasterzy uczynił sprawę osobistą. Wszyscy członkowie mniejszości wiedzą, że Sobór watykański nie skończony, że nie jest ostatnim Soborem Kościoła Bożego. Nigdybym w tych katakumbowych dla Oblubienicy Chrystusowej czasach, w których złowrogi ultramontanizm (wyraz arcy-niewłaściwy, ale utarty, więc przyjęty przezemnie) dławi ją jak zmora i czarnym pokrywa całunem, nie odważył się wspominać o historji ks. arcybiskupa Tizzaniego, gdyby sam nie był już o niej w pismach publicznych wspomniał. Pomimo upadku doczesnej władzy, jak za czasów Tyberjusza Cezara, donosicielstwo wszechwładnie dotąd panuje i korzysta z najdrobniejszej wzmianki, by ślepo godzić w ludzi. Świeckim już szkodzić nie może, więc szkodzi duchownym. Jak za czasów Tyberjusza Cezara pierwotni chrześcianie w katakumbach, tak prawdziwi dziś katolicy powinni modlić się i czekać. *In patientia vestra possidebitis animas vestras.* Obok urzędowej historji Watykańskiego Soboru przez księdza Cecconiego, — Pallavicina pierwszego soborowego okresu — pismo arcybiskupa nizybijskiego, pokaże nam jasno i na mocy niezbitych dowodów, czy zgromadzenie zwołane przez Piusa IX., 8. Grudnia 1869 było swobodném i niezawisłém lub też niém nie było, czy ma przeto charakter ekumeniczności, obowiązujący dla wszelkiego katolika, pod utratą zbawienia, lub czy charakteru tego nie ma; czy jezuici kierowali niém wyłącznie, lub czy wszystko co mówiono i pisano o szalonym terroryzmie szerzonym przez nich za pośrednictwem kardynałów prezesów czyli legatów, jest niegodziwą bajką, uwłaczającą Stolicy Apostolskiej i Towarzystwu Jezusowemu. Nie wiem wcale w jaki sposób najczcigodniejszy ks. arcybiskup Tizzani żywotne te pytania rozwiązał, bo nigdy nie czytałem ani jednego wiersza z jego rękopismu, bo nie ważę się ani jednego zdania jego przesądzać. Wiém tylko, że na świadectwie takiego człowieka każdy wierny bezwarunkowo polegać może. Czekajmy więc i módlmy się.

Przechodzę teraz do kwestji, w której świecki pisarz swobodniej może przemawiać, a ja zaś jako naoczny świadek osobliwe przemawiania mam prawo. Kiedy dziesięć lat temu stawałem tak gorliwie w obronie zasady doczesnej władzy Papieża, kiedy pisałem broszury, za które Pius IX. raczył mi ustnie dziękować (zostały bowiem przełożone na włoskie), kiedy wydobywszy z zapomnienia przy pomocy nieoszacowanego O. Theinera pamięć Jana z Rzeszowa, który za Kazimirza W. z garstką polskich rycerzy spieszył w pomoc Papieżowi przeciwko Barnabaszowi Viscontemu, zachęcałem rodaków moich, aby się szli zaciągać do wojska papiezkiego, nie znałem dobrze ani sprawy włoskiej, ani Włochów, ani rządu jego Świętobliwości. Popełniałem nadewszystko błąd opłakany, w jaki dotąd niejeden u nas człek dobrej wiary wpada, upatrywania w doczesnych prawach Stolicy Piotrowej, jakoby streszczenia wszystkich praw spółecznych i narodowych, widzenia w nich związku ze sprawą rozebranej Polski. Jestto, powtarzam błąd niedarowany, przesada niedająca się już dziś usprawiedliwić nadmiarem religijnej gorliwości, albowiem po wszystkiem cośmy widzieli, religijna gorliwość niezdolna wykluczyć zdrowego rozsądku. Sprawa doczesnej władzy Ojca Swiętego może mieć najwięcej podobieństwo do tej lub owej dynastycznej sprawy, nie zaś do żadnej narodowej, jak to bywało wówczas, kiedy Aleksander III. stawał na czele ligi lombardzkiej przeciw cesarstwu niemieckiemu, lub kiedy wojsko Piusa VI. walczyło przeciwko zastępom rzeczypospolitej francuzkiej, wówczas Papież przewodniczył Włochom lub cząstce niezjednoczonych jeszcze Włoch przeciwko cudzoziemskiemu najezdcy; od 1860 zaś Papież staje z obcemi wojskami lub z wojskiem cudzoziemców albo z drobném uzbrojoném stronnictwem włoskiego narodu przeciwko temuż narodowi, który doczesnych rządów jego już nie chce. Prożno odpowiadać tutaj, jak odpowiadają wszyscy ultramontańscy dziennikarze, jak twierdzą same Encykliki i Allokucje Jego Świętobliwości, iż najezdniczy Piemont rozciągnąwszy po całych Włoszech sieć spisków i tajemnych knowań za pomocą karbonarium i wolnomularstwa, podkopywał zwolna prawowite panowanie Papieża i książąt a książątek włoskich, aż wreszcie wyzuwszy się ze wszelkich względów i wstydu jawnym i gwałtownym zamachem uderzył na autonomję włoskich ludów i na odwieczne prawa rządzących niemi dynastji. Tłómaczenie wielkich faktów, co na guzońskim Półwyspie od lat dziesięciu zaszły, zostawmy już dzisiaj czytelnikom i czytelniczkom owej niezrównanej powieści Bogiem a Prawdą w odcinku Czasu ogłoszonej, gdzie anielska suchotnica Terenia, młodsza córka pani Wiśniowieckiej, apostołując w Wenecji idealnym uśmiechem i poświęconemi medalikami nawraca tych strasznych farmasonów, o których O. Semeneńko takie dziwy prawi. Zapewne że tajne towarzystwa, — których nie bronię, bo dzięki Najwyższemu, nigdy do nich nie należałem, — odegrały pewną rolę w długowiecznej walce rozczłonkowanej Italji przeciw obcym najezdcom i własnym tyrankom; ale jeśli przyczynić się zdołały do wspólnego dzieła i stały się rzeczywiście wpływowemi, to dla tego jedynie, iż umiały pochwycić ideę narodowego zjednoczenia, tkwiącą głęboko w sumieniu tłumów, w dziejowym rozwoju włoskich pokoleń, w jedności przeszłej chwały, największej dziejowej chwały, jaka istnieje pod słońcem, w samém wreszcie jeograficzném położeniu, tak dziwnie jednolitem. Dla Boga, panowie ultramontanie, obrońcy narodowych rozwodów, które tak gorliwie i tak słusznie w rodzinach potępiacie, chcecie koniecznie rozwieść ludy równie jednolite nie plemiennie, lecz narodowo, jak Wielkopolanin, Litwin i Rusin, jak Bretończyk, Szampańczyk i Prowensal, mieszkańców tej ziemi wyrocznie poślubionej jedności turkusową obrączką jednych fal, co ją zewsząd oblewają, opalowym pierścieniem jednych bezchmurnych widnokręgów, jednemi góry, co ją przewiązały jak stuła, jednym językiem — językiem Dantego i Tassa — co dźwięczy w ustach jej ludności i jej natchnieńców, jak niezłomna ślubna przysięga, jednym wiankiem wiecznie zielonej roślinności, arcydzieł sztuki i marmurowych wieżyc, wyrosłych ku niebu ze szpiku kości jej wielkich jenjuszów?*

Przez wieki rozczłonkowane Włochy jak dziś rozszarpana Polska dążyły do zrośnięcia się w jednę całość, a jeśli wielka idea Dantego i Machiawela nie mogła się w kształt polityczny wcielić, i błąkała się tylko jak pokutująca dusza po głębinach pism filozoficznych, po plastycznych powierzchniach sztuki lub po przezroczach poezji, jeśli rozwijała narodowe barwy na szatach przeobrażonej Beatrixy, nachylała czoła *Pensierosa* Michała Anioła i jęczała niewymownie w wierszach Hugona Foscolo i Leopardego wieszczów rozpaczy, siejąc wszędzie cuda kunsztu w politycznej bezwładności swojej, — to jedynie dla tego, iż jarzmo obcych władzców i obcych dynastji przyoblec jej żywe kształty niedopuszczało, dla tego że Papieże na tém jarzmie zatknęli byli krzyż Chrystusowy jak Herkulesowe słupy dla idei włoskiej i grożąc jej klątwą wołali: *Non plus ultra!* Porównanie to streszcza i objaśnia tajemnicze knowania sekt i bezbożność części zropaczonego

---

* Haec quoque de medullo crevit ad astra meo. (Napis na grobie Giotta w katedrze florenckiej).

narodu włoskiego, którego papieztwo po Juljuszu II. zjednoczyć już samo nie chciało, a któremu zjednoczyć się bez siebie i wbrew sobie nie dawało, raz po raz cudzoziemskie najazdy na ziemię włoską ściągając, by swą doczesną władzę utrzymywać. Pierwszy i jedyny po Juljuszu Pius IX. stanął na czele narodowych dążności Włoch na pierwociu swego panowania; ale chwila ta niedługo trwała. Nieszczęściem jako mąż polityczny, jako przodownik narodu, o wiele on był niższym od wysokości zadania. Nie chciał i nie umiał skorzystać z chwili, a chwila w polityce jest wszystkiém. Chwila zjednoczenia Włoch pod znakiem świętych kluczów minęła na zawsze. Kamil Cavour podniósł wielką ideję wypadłą z bezsilnej Piusa IX. prawicy. Zawrzała bezmyślna i dzika reakcja w Gaecie rozpoczęta; *motu proprio* w Portici nadane zostało martwą literą, a pod osłoną znienawidzonych francuzkich bagnetów polityka kardynała Antonellego — niewiadomo czy złośliwsza czy bezrozumniejsza grasowała przez lat dziesięć jak morowe powietrze, gotując ostateczną zagładę doczesnej władzy Stolicy Św. Kardynał Antonelli był Janem, prostującym drogi Kamila Cawura, nikt tak wielkich jak on nie położył błędy swemi zasług sprawie jedności włoskiej. Zemsty jego prywatne, monopole rodziny i uporczywe odmowy, dziesięcioletnie *non possumus* w odpowiedzi na najoztropniejsze rady reform, ofiarowanie zbiorowych gwarancji i zachęty do poprawy wewnętrznych warunków państwa, z jakiemi się mocarstwa doń odzywały, stanowią odmienny wątek dziejów władzy doczesnej od powrotu z Gaety do wojny włoskiej. Wówczas nawet, kiedy władzy tej broniłem w zasadzie, kiedy nie znałem jeszcze dobrze ani kwestji rzymskiej, ani polityki papiezkiej, nie broniłem nigdy rządów kardynała sekretarza stanu, przeciw którym oburzał się niemniej mój rozsądek, jak wrodzony mój instynkt. Jak wielu jednak ludzi bezstronnych, jak wielu katolików nieuprzedzonych, ufałem, że za zmianą formy rządowej sama przynajmniej zasada władzcy doczesnej da się ocalić. Nadzieja ta moja, którą długo zachowywałem, okazywała się niestety! coraz bezzasadniejszą. Rząd papiezki zamykał oczy, zatykał sobie uszy, i leciał na oślep w przepaść. Jak dzisiaj, jak wczoraj, łudzono się mrzonkami, marzeniami, cudami, pamiętam jak jednego wieczora zstępując razem ze wschodów Ojca Świętego kardynał Antonelli prawił mi o roli odegranej przez Moskwę podczas konklawu, odbytego we Wenecji, gdzie Piusa VII. obrano, i wyrażał ufność w opatrznem powtórzeniu tej roli na korzyść katolicyzmu. Wierzono nawet w konieczność cudów, wychodząc na serjo z tej zasady, iż rząd papiezki może bezkarnie mnożyć błędy, albowiem interesem jest Chrystusa Pana utrzymać go. Przedziwny ten aksiomat polityczny jest nawet dziś wydrukowany. Ufny w dożywotną gwarancję Chrystusową, rząd Jego Świątobliwości niepowściągliwie folgował błędom. A przecież rzadkim zwrotem nadarzyła się powtórnie chwila, w której Ojciec Święty mógł, jeśli nie odwrócić zupełnie nieuniknione zjednoczenie Włoch, to przynajmniej opóźnić je na lat 50. Cesarz Napoleon ofiarował Piusowi IX. prezydencją konfederacji włoskiej po zawarciu pokoju w Villa-Franca. Kardynał d'Andrea, wielki ten i nieszczęśliwy mąż opowiadał mi, jak na klęczkach zaklinał Piusa IX., by przyjął natychmiast prezydencją konfederacji bez względu na to, czy Piemont się do niej przyłączy i czy neapolitański Burbon odmówi lub nie. Konfederacja mogła się stać historycznym czyścem Italji między piekłem jej długowiecznego rozczłonkowania a rajem jedności. Rzekłbyś, że Papież odmową swoją wolał udzielić Italji odpust zupełny, by czyściec ten od razu skrócić.

Kardynał d'Andrea, za którego przyjaźń kardynał Antonelli tak nieubłaganie mścił się nademną, skoro denuncjacje poznańsko-rzymskiej szajki dostarczyły mu pozoru do ubarwienia tej zemsty, czytał mi korespondencję swoją z hr. Cavurem, z którym dla dobra Stolicy świętej listował. Jenjusz biskupa sabińskiego byłby może ocalił na czas długi jeśli nie na zawsze odłamek doczesnej władzy, który pierwszy minister Piusa IX. bezpowrotnie zgubił. Atoli kardynał d'Andrea umarł moralnie jeśli nie materjalnie otruty, z policjantem na przedpokoju, napisawszy do papieża te gorzkie słowa zadynające list, który konającym już prawie głosem odczytywał mi: „Polityka Chrystusa była: tak, tak, nie, nie; polityka zaś Waszej Świątobliwości nie jest Chrystusową, lecz machjawelską.“ Tak jest, ostatni głęboko myślący doradzca zszedł z tego świata; kardynał Antonelli zaś może się dziś bezpiecznie przypatrywać spełnionemu dziełu i nagromadzonym stosom złota, a papież otoczon doradzcami, w których wyborze tak bywał zawsze szczęśliwym, wygląda cudu w głębi urojonego więzienia. Takim jest piękny rezultat polityki rzymskiego dworu.

Od 1860 r. zaczął się jej drugi okres jeszcze gorszy od pierwszego Wiadomo jak papież utracił Romanję, Marchję i Umbrję. Bitność żuawów i śmierć generała Pimodan pod Castelfidardo, natchnione wyrazy biskupa orleańskiego i tysiące innych pism skreślanych przez ludzi, którzy jeszcze wówczas wierzyli w poprawność papiezkich rządów i w żywotność władzy doczesnej, rzuciły na sprawę rzymską urok, jaki się odtąd coraz już bardziej rozwiewał. Jednakowoż był to szczery blichtr. W odpadłych prowincjach znienawidzono serdecznie papiezkie rządy popierane od lat dziesięciu ztąd francuzkiemi, ztamtąd austryjackiemi bagnety. Na stokroć mylnych papież opierał się danych i raportach kiedy utrzymywał w swych allokucjach i encyklikach, że prowincje one zdobyte zostały przez wojsko subalpińskie, że mieszkańcy nie powstali i głęboko przywiązani byli do jego ojcowskiej władzy. Owszem władzę tę skompromitował na zawsze w oczach ludności nie tylko ścisły sojusz papieża z Austrją, ale rządy delegatów czyli wielkorządzców rzymskich na prowincji. Prałaci owi, otoczeni wschodnim przepychem, żyli całkiem po wschodniemu, to jest w kole odalisek. Bywali oni w ogóle raczej rozwięzli jak okrutni; wielu z nich nawet zalecało się osobistą łagodnością, ale posługiwali się Austryjakami, którzy wyręczali ich w więzieniu i rozstrzeliwaniu rewolucjonistów. Atoli baszowie ci we fioletach natchnąć nie mogli nigdzie uszanowania dla stanu duchownego, bo choć dobry i skromny jaki się zdarzył, to wnet zły i bez obyczajów po nim następował. Ztąd bezbożność, jaka przeniknęła niektóre warstwy społeczności włoskiej. Im bardziej się zbliżasz do Rzymu, tem ta bezbożność bardziej wzrasta. Jest to muł i piasek co teokratyczne rządy zostawiły wszędzie po sobie. Mieszkałem przez dwa lata w Umbrji i Marchiach. Podróżowałem ciągle, zwiedzałem miejsca, gdzie cudzoziemcy bardzo rzadko bywają, gdzie polska zapewne nie postała noga. Znając język mówić mogłem z krajowcami wszelkiego stanu. Otóż wyznam szczerze, iż zdumiałem się głęboko nie znajdując nigdzie współczucia dla minionych rządów, jak to we wszystkich krajach się zdarza. Od zamku wielkiego pana do szałasu górala i owczarza nikt, ale co się nazywa nikt nie chce papieża — królá. Na sześcio na dziesięcio tysięczną często ludność miast i miasteczek wytykają, jak to mówią, palcem kilku stronników doczesnej władzy; w Terni na dwanaście tysięcy mieszkańców wyszukałem czterech. Republikańskie stronnictwo jest wszędzie liczne, czasami groźne liczbą; z administracji włoskiej to jest z podatków wszyscy niekontenci. Ale wszyscy powtarzaję, iż woleliby z torbami pójść jak wrócić pod jarzmo księży. Trwanie zaś dotąd ducha bezbożności, straszliwe bluźnierstwa, do których polskie ucho nieprzyzwyczajone, nie są bynajmniej winą rządu, który jest najbardziej toleranckim i wyrozumiałym w Europie. i owszem chociaż skonfiskował dobra duchowne, broni i zasłania wszędzie Kościół i religiją przeciwko samymże dawnym poddanym papiezkim, ale są wprost wynikiem antagonizmu przeciwko idei narodowej włoskiej, jaki istnieje w Watykanie. Z papieżem błogosławiącym a nie wyklinającym Włochy bezbożność by powoli znikła, bluźnićby powoli przestano, duchowieństwo odzyskałoby wpływ utracony od lat kilkudziesiąt, a księżożercze odezwy Garibaldego i wolnych myślicieli przeniosłyby się do łamów humorystycznych pism.

Władza więc papiezka najmniejszej podstawy nie ma w Marchjach i Umbrji; nie wspominam już o Romanjach, o których nawet w Watykanie przyznają, że tam rządów papiezkich nienawidzą i że potrzebaby żandarma przy boku każdego Romańczyka postawić, aby wiernym był Ojcu Świętemu. W dziedzinie świętego Piotra świeżo zajętej przez wojsko i władze narodowe, upadły rząd, ma mikroskopijną ilość stronników. W 1867 r. podczas najścia garibaldczyków ludność się we wielu miejscach biernie zachowywała, bo się lękano ochotników i nie ufano im. „Rząd włoski nie poprze ich może, mawiano wszędzie, księża wrócą, a księżowska zemsta jest najokropniejszą z zemst.“ Atoli gdzie tylko w tymże roku regularnie się wojsko włoskie ukazało ludność, je witała jak zbawców. i nie trzeba zapominać, iż gdy wojsko papieskie skoncentrowało się w Rzymie przed bitwą pod Mentaną opuściwszy całkowicie prowincje, nie było tam miasta miasteczka ani starej baszty gdzieby trójkolorowa nie powiewała chorągiew. Atoli Włosi się cofnęli, okupacja francuzka wróciła i wszędzie rzucono się do sądzenia powstańców. Ztąd nieufność i lękliwość Rzymian samych przed 20. Września. Dziwić się nie można, iż mieszkańcy nie otworzyli bram miasta narodowym zastępom zważywszy nadto, iż Rzymianie utracili wiele rycerskiego ducha pod teokratycznym rządem, że rodziny lękały się fanatyzmu i okrucieństwa zawców, który strzegli miasta, i że rząd papiezki wygnał był ze stolicy od lat dziesięciu trzydzieści tysięcy mieszkańców o ducha rewolucyjnego podejrzanych. Tężyzna więc Rzymian znajdowała się po za Rzymem.

We wiecznem mieście stronnictwo doczesnej władzy jest nieró-

wnie liczniejszem niż w Marchjach, Umbrji i ojcowiznie św. Piotra wziętych razem, bo mnóstwo rodzin związanych jest materjalnemi interesami z papiezkim rządem a krwią z najwsteczniejszymi prałatami. Atoli ogromna większość Rzymian nie chce papieża — króla. Wszystko co piszą w tym względzie ultramontańskie dzienniki jest szczerą fantasmagorją. Nadzwyczaj niezręczna administracja włoska i ogrom podatków wiele osób zniechęcają ku nowemu rządowi, ale zapamiętali tylko czarni życzą sobie powrotu żuawów, cudzoziemskiej okupacji i teokratycznych rządów, w których dowolność, despotyzm, tajemniczość, faworytyzm, szpiegostwo, donosicielstwo, zepsucie, wyzucie się ze wszelkich uczuć sprawiedliwości i miłości chrześcijańskiej, od czasu jak się zagraniczny fanatyzm przymieszał do krajowej administracji doszły były do stopnia nieznośnego w świeckim, potwornego zaś w duchownym rządzie. Rzymianie wiedzą co ich czeka w razie gdyby władza świecka Ojca Świętego przywróconą była. Przywrócenie to, jeśliby się stało przynajmniej na teraz, z teraźniejszymi mężami duchownymi i wyobrażeniami panującemi w Watykanie, niepowetowaną klęską dla Kościoła powszechnego, byłoby podwójną klęską dla Rzymian. Rząd papiezki uderzyłby wnet w reakcję szaleńszą od dotychczasowej, w reakcję przekopiowaną *mutatis mutandis* z tej, z jaką rząd wersalski wystąpił dziś przeciw komunie. Zemsty byłyby niezliczone, okropne. Proskrypcyjne listy są już gotowe, mianowani są już nawet w Watykanie urzędnicy *in partibus*, na których energiczne działanie rząd papiezki mógłby liczyć. Kardynał Antonelli powiadał przed kilką dniami znajomemu memu, iż rząd francuzki błąd wielki popełnia, przeto, iż nie dosyć rozstrzeliwa, że jest to niedarowanym błędem politycznym, albowiem tak wyborna sposobność pozbycia się wrogiego mu stronnictwa nie trafi się drugi raz. Ze słów tych obojętnie i zimno w poufnej pogadance rzuconych zmiarkować można, pod jakich myśli i dążności prądem nastąpiłaby papiezka restauracja. Dobroduszne i pobożne osoby podpisujące u nas petycje o przywrócenie doczesnej władzy lub adresa życzące jej odbudowania, nie zdają sobie zapewne rachunku z tego co czynią i nie wiedzą o co proszą. Słyszałem i słyszę codziennie prałatów światłych i umiarkowanych, powtarzających, że jeśli restauracja ma nastąpić życzyć należy, aby się jak najdłużej odwlekła.

Nie tylko zaś, że reakcja w Rzymie byłaby okropną, że potrzebaby uwiecznić stan oblężenia i że religja, — to jest rzecz najdroższa nam katolikom nie ultramontanom, którzyśmy drewnianego krzyża Zbawiciela brylantową tiarą papiezką nie zastąpili całkiem, — zniknęłaby zupełnie z oblicza Europy, ale nadto ażeby do tak opłakanego rezultatu dojść wojsko mocarstwa przywracającego doczesną władzę, musiałoby piędź po piędzi całe Włochy zdobywać. Walka byłaby straszliwą, bo Włochy mogą dziś wystawić sześć kroć sto tysięcy wcale bitnego wojska, a Półwysep dziesięć kroć chętniej od Francji stanąłby cały pod bronią przeciwko najezdzcy. Rzymu osobliwie bronionoby do upadłego; ale niktby już wówczas zabezpieczyć duchowieństwa nie był w stanie. Jeden z najwykształceńszych i najzdolniejszych ministrów rządzących obecnie Włochami mówił mi kilkanaście dni temu: „W razie najazdu obcego na nasz kraj dla przywrócenia władzy doczesnej papieża, ludzie najbardziej nawet umiarkowani tak jak ja i najżyczliwsi duchowieństwu i wierze katolickiej, którą z duszy całej miłuję, przywdzielibyśmy czerwone koszule garibaldzistów i poszlibyśmy na ochotnika.“ Nie ma w Europie bardziej zachowawczego i przywiązanego do pomników swych narodu jak Włosi; dzikie okropieństwa komuny są tu niemożliwemi, bo lud ten, nierównie po miastach oświeceńszy od francuzkiego, kocha arcydzieła swych mistrzów. A jednak w razie obcego najazdu oburzenie przeciw papieżowi byłoby tak silném, że nie tylko nie możnaby ręczyć za osoby (ojciec święty wyjechałby w takim razie), ale z Watykanu, ze świętego Piotra, z fresków Rafaela i kopuły Michała-Anioła papież zgliszczaby tylko odzyskał.

Atoli wcale się na to nie zanosi. Dowiaduję się właśnie, w chwili kiedy piszę, z ministerstwa spraw zagranicznych, że wszystkie niemal mocarstwa uznały i pochwaliły rękojmie przez rząd włoski ofiarowane papieżowi, a jedno wielkie mocarstwo nawet znalazło, iż za wiele dano.

Kilka jeszcze słów w tym względzie w następnym liście.

Władysław Kulczycki.

Przechadzki po Europie.

(List z Sycylji.)

(W pełném morzu.)

III.

Kwiecień, 1871.

(Ciąg dalszy.)

Tę samą głowę znam przez Correggia i Guida, przez Carlo Dolce i Schöngauera, a żadna (*suum cuique*) nie sprawiła mi tego wrażenia — czemu? bo tam sztuka mistrzynią, tu poezja prawdy pełna wcieliła ten prosty kalwaryjski wyraz, pokrewny chuście świętej Weroniki! — Dalej w około manuskrypta Teofila, wśród nich ostatni wiersz do Kornela Ujejskiego, który jak ptak przeleciał szybko nad Włochami, czy z tęsknoty za krajem, czy z żądzy wyśpiewania czegoś nowego.... Rozmowa Lenartowicza cicha i rzewna, prosta a głęboka jak zdrój świeży, jakże nam szybko i mile płynęła . . . rzucał w nią wszystkie kwiaty miodowe, jakiemi rozporządza tak hojnie, nie pytajcie o czém mówiliśmy, ale o czémeśmy nie mówili! o kraju, o sztuce, o Helladzie, o świecie bizanckim i fantazji wschodniej, o Rafaelu, o jego skrzypku, o Savonaroli i świętej Katarzynie Siennejskiej i ich stosunku, o kopułach Brunelescego a Buonarottego, o Romie i Egerji, wreszcie o róży i cierniach ... o sercu i troskach jego, od straty ukochanej żony, i chorobie (kamień!!), która go dręczy mniej, niż kamień co ciśnie serce stęsknione za krajem... Zostawiać Lenartowicza samego w tym pokoju, choć w sąsiedztwie Pitti i San Lorenzo, z samotną żałością, której praca nie zagłusza, to się nie godzi. Przebóg! czyżby kraj nie miał jednej użytecznej a wzniosłej posady, któraby go ziomkom, a jemu słońce ojczyste wróciła, nim rosa oczy wyje?... Dni nasze są policzone, i może pomyślą nad tém ci, co czytać umieją. Jednak czy Lenartowicz zniósłby nasz klimat i... nieco mroźniejsze usposobienia pewnych koterji? — to inne pytanie — ale dość, łzami dajcie mi pisać, bo atramentem o tém się nie godzi!...

Druga rzecz, kiedy już z tą rozstać się trzeba, to książka „O drogach ducha“ Augusta Cieszkowskiego. — I on tylko co był we Włoszech, jeszcze świeże ślady jego we Florencji. Książkę tę przeczytałem z spokojem i dawno nieczutą równowagą ducha, jaką napełnia; zdaje się ona dalszém pasmem myśli Ojczenasza, napisana z tym filozoficznym spokojem myśli słowiańskiej, świadomej dróg dziejowych ludzkości a po przyczynach i skutkach, prawa bytu czasów nadchodzących.... Uspokoiła ona mnie pod wrażeniem zgrozy i oburzenia, jakiemi każdy umysł nawet nie polski, byle nieco szlachetny, napełnić musiały bezczelne wyrazy o sprawie naszej wyrzeczone do posłów naszych z szyderstwem szatana, ustami krzyżaka bez krzyża, bluźniącego Opatrzności, której mieni się narzędziem, pijanego zwycięztwy zbyt łatwémi a napojonego posoką nieszczęśliwych.... Książka ta była mi odpowiedzią na to — tryumfem myśli polskiej, jaki ją czeka na polach pracy dziejowej i duchowej.

Tyle myśli treściwych w tak ścisłych ramach tylko tak ujęta, w taki ład spięta dialektyka zmieścić może.

Drogi ducha, ludzkości przyszłej są osią główną tego systemu, drogi te rozmyślane i przeczute tam są z dziwnym spokojem pogody sokratycznej i doświadczeniem głębokiego rozmyślacza, któremu dzieje polityczne, tak jak dzieje psychiczne i wiedza ludzkości, skarbnica jej uczuć i prawa jej dążeń, znane w przyczynach i skutkach, jak klawiatura, po której spokojnie szybuje ręka mistrza. Jak gamma tęczy znane mu głosy plemion dziejowych. Część pierwsza zawiera rzecz o zawiązku „myśli a słowa“ złączonych jak duch z ciałem, w ich wzajemném uzupełnianiu się. Wszelkie tajniki myśli, — mówi autor — są słowu przystępne, cokolwiek pomyślisz, bylebyś obmyślił, niechybnie wysłowisz. Czego nie wysłowisz, tegoś niezrozumiał, to poczęło ci się w przeczuciu, lub zaroiło w domyśle, ale do myśli nie dojrzało . . . . na tej zasadzie dalej wznosi swoją budowę dowodząc, że słowo i myśl są sobie powodem i dowodem, że się wzajemnie wołają — mnogie ustępy z biblji i greckie słowo logos, oboje oznaczające, służą jako środki diatektyce o jednakiem rozumowaniu. Zastanowiwszy się nad związkiem i stosunkiem obojga i ich dzieckiem czynem (słowo ciałem), autor przechodzi do pierwiastków myśli słowiańskiej. — Myśl słowiańska — prawi — greckiej powinowata, a więc życie w całej pełni uchwycić zdolna, na tor pierwszy, w tradycji pilnowany, stanowczo nawraca. Aliści skazówka tego myśli słowiańskiej uzdolnienia, tkwi znów w sło-

wiańskich narzeczach, zarówno abstrakcjom jak zamętom wrogich, kędy wszelki wyraz i wszelka składnia miasto ulatniania się w jakąś mglistą nieskończoność żywotną, owszem plastycznością i organicznością się odznacza. Alboż — mówi dalej — sam wyraz myśl, zaklęty umem w słowo, a tym przepływem jedno z drugiem kojarząc u—my—słowo nie zdawałoby się poniekąd odpowiadać temu, co w Grecji wzniosłém pojęciu zrozumieli? Świat więc słowiański, w tym związku pojęty na drogach ducha widzi i wita autor — jako świat myśli Bożej polem będący w przyszłości — —, świat to Mickiewicza, o którym z uwielbieniem przemawia, ideał to jego prelekcji słowiańskich, z których okazji sromotnie gromi tych, co się ważyli z powodu usterków i błędów zbytecznego mistycyzmu wynikłych z nieszczęsnej Towiańszczyzny, to prorocze dzieło, niestety, psujących, bluźnić i oślepić na jego całość niepożytą. Podobni zaiste do tych, co z Mefistofelesem Goetego odrzekają uczniowi:

Wo ein Begriff? fehlen,
Dort stellt ein Wort zur rechten Zeit sich ein.

Tu podziwia autor, do jakiego stopnia duch germański posunął sztukę urągania własnym ułomnościom, i zmierza ku końcowi pierwszej części, konstatując tekstem biblijnym: że mądrość wszystkich wieków nie wahała się przyznać, że wszystko, co się stało, przez słowo się stało — a słowo ciałem, czynem!!!

Część wtóra. Uczucie a ton. Raczej psychiczno-estetyczną ma cechę. Genialnie pojęta, zwrotnikowa — że tak rzekę — sporność myśli od uczucia. Uczucie (o ile myśl słowem wyrazić musisz) o tyle ono z przyrodzenia nieme jest! Ledwo okrzykiem lub westchnieniem pochwycone, o ile zaś nieme, o tyle na wszelkie słowo głuche. Bo uczucie głuche na wszelkie wyrażenie rwie się natychmiast do wyrażenia. — Wyrazem polskim ton oznaczył Mickiewicz tę drogę w prelekcjach. Jak wyżej słowo myśli, tak tu uczuciu ton odpowiada. Nic trafniejszego! Nie jest-li muzyka wysłowieniem niewypowiedzialnych uczuć i rzeczy?...

Myśl oderwana z oderwaném słowem nic wspólnego nie mają. — Człowiekowi pogrążonemu w boleści przyniesiesz więcej ulgi uściśnieniem dłoni, łzą bratnią, niż potokiem słów najwymowniejszych. Przeciwnie, matematyk wysłuchawszy najcudniejszej symfonji Beethovena, spytałby się: czegóż to dowodzi? — Wiele dowodzi, — kończy autor — tego, że choć niema związku między abstrakcją myśli a oderwanym tonem, to jednak duch jest ten sam i jeden zawsze i wszędzie. Tu analogia między matematyką a muzyką, na dawnych greckich zapatrywaniach oparta, od Pitagorasa począwszy w edukacji młodzieży razem klasyfikowana. — Następnie rozbiór tonu, mowy, czyli stylu, i rzecz o formie zewnętrznej a jej ważności.

O nastroju ducha narodów w formie ich muzyki rodzimej, z nieocenionóm poczuciem mówi autor. Kończemy jego złotoustą konkluzją:

A jeżli po wszystkie wieki, począwszy od Jubalowych i Orfeicznych pierwiastków aż do dzisiejszych, ledwie zawiązujących się, ale przyszłości pełnych Orfeonów, służba Boża i wychowanie ludzkie świadczą ustawicznie za szlachetną serca i umysłu piastunką; czegóż sobie po jej doświadczoném mistrzostwie, na korzyść opatrzniej niż dotąd wychowanych pokoleń zachować nie możem, skoro nastające wieki stokroć silniej od ubiegłych sprzyjać zaczną jej religijno-cywilizacyjnemu powołaniu? — Jak one wieki harmonji chciwe a rozterkom wrogie, więcej niż ktokolwiek po muzyce wymagać będą miały prawo a nawet potrzebę, tak nawzajem, ona więcej niż kiedykolwiek pomagać będzie miała obowiązek, a domagać — siłę. Społecznie odtąd i pedagogicznie uprawiana, już nie za zbytek, ale za jednę z wzniosłych potrzeb i sprężyn duchowego życia poczytana, żywotném też przekona nas doświadczeniem, jak dalece ją na to staje, by ducha nietylko chwilowo unosić, ale i statecznie podnosić; jak słusznie przeto osobliwą między sztukami wniebodążność objawiając we wszelkich liturgijach rej zawżdy wodziła. A tak wywiodłszy się z pochodzenia i przeznaczenia swego, już nietylko wrodzonym sobie powabem, ani też instynktowém wszechludów upodobaniem, ale historyczném na chwałę Bożą poświęceniem i ustawiczną na wspólne obyczaje działalnością, rozwiąże nam ta córa niebios zagadkę własnej potęgi — i zrozumiemy dla czego była zawżdy i wszędy człowiekowi tak miłą, skoro go już dobrowolnie i mimowolnie do miłości zaprawiała....

Zaiste, inne nieco dążności niż n. p. w broszurze: „O sztuce polskiej,“ o której zamilczeć wolemy, bo jej dały odprawę „pędzle“ Matejki i Grotgera.

Następnie zwraca autor uwagę na rzemiosła i kunszta, na przemysł i stosunek jego do sztuki. Trafnie wykazuje, jak i o ile przyczyniły się do wyzwolenia ducha ludzkiego. Jednak i całą grozę niebezpieczeństwa wskazuje tym, coby chwilową ułudą materializmu porwani, upatrzyli w tych rezultatach cele a nie środki ludzkości do celu wiodące, zabywszy głównych i świętych jej celów.

Przemysł podniesiony przez autora do praw obywatelstwa wielkiej wagi, i ekonomicznie jako umiejętność traktowany, jako jedna z arterji społecznych zbadany, z drugiej strony ujęty w karby jako środek służący celowi, jako jeden z taranów torujących drogi ducha. Tu z właściwym sobie darem pogodnego i spokojnego na świat poglądu, uspokaja ducha tych wszystkich, co się tak skorzy trwożyć zawrotem i przewrotem świata, że często nie baczą drogi własnej, — którzy twierdzą, że materja zwyciężyła, że drogi ducha puste i odłogiem leżące, daremnémi pozostaną, przeto że wynalazki chwilowo wzięły górę, że mają to, co sobie trudem i pracą chwalebnie zdobyły, którzy wołają, że oko Opatrzności kataraktę cierpi, nieczując w własnym sangwinizmie jak ręka olbrzymia i żelazna konieczności prawdziwej dzierży wszechstronne nitki naszych losów narodowych, społecznych i człowieczych. — — Tak więc z pod białego portyku w błękity przyszłości pogląda z pokojem genialnym, z Platońską zaprawdę dialektyką, o tyle cieplejszą od arystotelicznych formułek, zda się z miłością na pozór nieco optymistyczną, bo bardzo szlachetną poglądać w wieki przyszłe, kiedy materja do równowagi się ukołysze, czynnikiem ducha dzielnym i chrobrym, nie tém, za co ją przedają z pychą obmierzłą dzisiejsi materjaliści, — a ducha wsparłszy jak Centaura jej grzbietem wzmocnionego, tém silniej dążyć mogącego do celów nieskończoności. — — Ztąd też skonstatowanie stanowiska przemysłowca i umysłowca — obaj mają swe ważne uprawnienia i działalności.

Postęp techniczny niezbędnym jest do postępu sztuki, sztuka zaś główną jego dźwignią — dla tego głupim byłby przemysłowiec urągający umysłowcowi i sądzący, że świat zawojował, a równie politowania godzien umysłowiec z politowaniem poglądający na przemysłowca, jako takiego, z pewną arystokracją ducha.

Nic prawdziwszego, — kto był w Niemczech i widział niedogryzka abstrakcji idealno-panteistycznych z jednej, a kupca wjeżdżającego na jarmarkt w tryumfie do Lipska z drugiej strony, przeświadczy się o pełni tej prawdy. — Wspólnémi więc siłami do wspólnych celów postępować należy, każdemu w swoim zawodzie, czy czynnikiem ważnego mrowiska ludzkiego, czy na orlich wyżynach wielkich powołań.

Tu zastrzega się autor przeciw nowotnym zasadom teorji sztuki, celem sobie będącej, nie przeczy, że one sobie są wszystkiem i wszystkiem w sobie, a przeto już z zasady się wypełniają, bo sztuka acz nie będzie nigdy służebnicą żadnej iei, wszystkie idee wielkie w siebie pochłania, i walczyć w imieniu każdej szlachetnej gotowa swym mieczem piorunowym; a karleje dopiero wtedy, gdy schodzi do kosmopolitycznego wyjątkowo użycia, do epikureizmu piękności, zasady jej wypełniają się w sobie — motywuje to autor w sposób arcy-oryginalny, charakteryzujący świeżość myśli słowiańskiej, w obec zużycia germańskiej. Oto powiada: Wszakże już duch jednostkowy, podmiotowy, jakim jest każdy człowiek w społeczeństwie, skoro prawem nieśmiertelnego ducha stanow *sui juris* osobę nie zaś żadną *alieni juris*, jeżeli jest sam w sobie i przez siebie celem, którego nikomu ani za środek uważać, ani wyzyskiwać nie wolno, a przecież nieskończonemu uprawnieniu temu bynajmniej sam nie ubliża, owszem, w duchowém dostojeństwie sam jedno wzrasta, im się więcej sam z siebie bratnim duchom udziela (Rozdawaj siebie samego twej braci. Resurecturis Krasińskiego). Im się lepiej i szlachetniej zbiorowym, zwłaszcza osobistościom rodu, narodu, ludzkości poświęca, słowem, im dzielniej i potężniej z własnej woli służy społeczności ducha (*comunitati spiritus*). Dalej rzecze, że wspólną konfederacją sztuk z nauką, bez podtrzymania z nich jednej, jak n. p. teologji w średnich wiekach, dojrzeć mogą w skonfederowaną rzeczpospolitę. Rozważa dalej, jak i o ile scholastyka nawet w genezie ducha potrzebną (?) była, jako hartująca w karbach tradycij młodocianego ducha ludzkości, a to z stanowiska nie teokratycznego, ale iście religijnego.

Szkołą ducha ludzkości jest, jako tenże od reformatorskich zachcianek aż do Karteziuszowskiego *Cogito ergo sum.* Wyjściem z nie jest to rozsadzanie scholastycznej skorupy, tak zwana epoka odrodzenia renaissance!

„Tam ci jest duch, a gdzie duch, tam wolność“ (do Cor. III. 17). Tu następuje określenie pojęcie wolności. — Prawo jej bytu i celów, paralella między nią a swawolą i sporność a walka z niewolą. Zatém wolność byłaby zrównoważeniem jednej a drugiej, czyli tryumfem wo li „nad samą sobą.“ Tę myśl spotykamy z radością jako potwierdzenie tego, co nam się zawsze marzyło. Niegdyś już uplastyczniona ona została przez autora Ojczenasza w słowach pięknych: Ani pod sromotny znak niewoli, ani pod splugawioną czapkę swawoli nie poddasz pogodnego czoła. — — Dziś przez ironię ironji poddawać je, stało się modą

pod splugawioną czapką błazeństwa, która trefnisiom wydwarza wszystko dawniej czczone i samą siebie plugawi.

Dalej zawraca autor dowodami poparty przeciw abstrakcjom filozofij niemieckiej, przeciw zasadzie sztuki dla sztuki, a kapłańskie powołanie ducha, ukazuje dobitnie w psalmach przyszłości i odzie do młodości, mieni je pasmem proroczych głosów, i począwszy od nie dokończonego poematu, do dziadów, jasno przestrzeniom ducha przewodniczącym przedświtem. Tak tylko w tém miejscu doliczyliśmy jako łącznik filozofij z poezją, jako księgę pośredniczącą między pojęciami doczesnych a wiecznych rzeczy. Ojczenasz, niestety, nie dopełniony w swej całości, i obok dzieł Trentowskiego, jedyny pokładowy kamień gmachu filozofii rodzimej naszej a całym jej zarysem, stanowiący....

O życie społeczne ludów, — woła dalej, — nie o teorje abstrakcyjne chodzi tym głosom, domagającym się jasnej przyszłości ludów, im siebie poświęca prorok i woła:

„Zgińcie me pieśni, wstańcie czyny moje!"
i właśnie tém je unieśmiertelnił. Podobnie sztuka i nauka w życie społeczne przejść musi, wsiąknąć w jego pory, i motywuje to podobnie jak wyżej, mówiąc, że jakkolwiek dążenie ku temu choć jest powołaniem i celem a nie środkiem jakiejś teorji, jednak nie jest abstrakcją nauki dla nauki. To nowe światło teorij mających stać się praktyką światów słowiańskich, wróży autor.

Tak, bez wątpienia, bo wypełnił się pod tym względem duch germański i romański, świeżo schłostany nemezą dziejową. Duch słowiański ma przeto uprawiać to trzecie pole woli, czynu i wolności, jak dotąd pole myśli i uczucia uprawiał.

Tu nastaje rzecz o narodowości, tej arce przymierza ludów, i o potworném znamieniu, jakiem piętnuje swego odszczepieńca, zdrajcę ojczyzny, — dalej o wspólnictwie i zaślubinach narodów, których ideał podały nasze dzieje.

Wsparty o biblją, zatacza ku końcu poglądy swoje prawdy i mądrości, orzeźwiające na spalone umysły obecnego położenia Syzyfów; kończy je z rodzajem natchnionej ekstazy, jakoby z wielkiej góry rzewnie na wędrówkę przyszłych pokoleń, ku ideałowi poglądał — podobnie jak Frycz Modrzewski w natchnieniu dośpiewał swe pomysły o poprawie Rzeczypospolitej, podobnie jak Konarski z ogniem zawiera swe dzieło „o skutecznym rad sposobie", tak Cieszkowski o poprawie dróg ducha, a w skutek tego o poprawie życia jednostki i wspólném dojrzeniu do Rzeczypospolitej społecznej, której część niepospolitą ogłosił; kończy. Nie posiadamy zmysłu krytycznego, ani się oń kusimy, wymknął nam się okrzyk zapału pod wrażeniem tej formy i treści, o której i innym powiedzieć mieliśmy ponętę.

Ależ nie o tém miała być mowa. Oto noc na statku mija, przestrzenie błękitów jaśnieją, nikną gwiazdy, a pierwsze promienie Heljosa już ozłacają wychodzące z mórz brzegi Sycylji — zrazu błękitne, potém zielone, szare, wreszcie dziko-skaliste i majestatycznie spiętrzone, zbliżają się ku nam, rosną szybko, i olbrzymieją im podobnie ludzie nieraz zdaleka, zdają nam się niebiańsko-błękitni, bliżej nieco, zieloni, jeszcze bliżej szarzy, wreszcie skaliści, stromi i szorstscy, byle nie karłowaci, Jakichże losów nie przebywałaś w ciągu wieków, syta przygód Sycyljo!

Jak każdy kraj piękny, żyzny a wdzięczny, bywałaś ofiarą a łupem postronnych sępów. Jak Grecja, jak reszta Iitalji, jak Hiszpanja, jak Polska nieustających walk byłaś polem. Starożytność Sycylji, sięga czasów bajecznych, cudowne myty zapełniają tę dziewiczą ustroń, ktorej natura jakby nie tknięta ludzką ręką, i niesprofamowana, tak bujnie się rozwinęła. O ile z pewnych danych wnieść można, Grecy pierwsi zapanowali nad wyspą założeniem swych osad.

Przeważnie na południu rozciągały się Helleńskie osady, nie zawisłe od miejscowych Sykulów zwycięzkich nad Hiszpanami. Metropolją ich stała się Syrakuza w V. wieku po Chryst. Tyranowie Syrakuzańscy w tej epoce władają całą prawie wyspą, przemysł, sztuki zakwitają. imiona poetów Hesichora i Dyonizjusza II., pamiętnego Empedoklesa pseudofilozofa i Epicharma komika Syrakuzańskiego teatru, są zaszczytem tej epoki. W tymże czasie i sztuka plastyczna powstała, ztąd datują jej nieszczęsne a piękne okruchy w Palermitańskiem muzeum przechowane. Następnie Sycylja staje się kołem rozdartym przez Kartaginę a Romę, sceną wojen punickich, prowincją rzymską a szpichlerzem Italji i Europy. Z runięciem światowładnego państwa, zdobywają ją Goci wschodni, którym (536) wydziera ją Belizarjusz. Niedołężne i okrutne rządy Bizanckiego państwa pękającego w gruzy, zwabiają ku uroczej wyspie Arabów.

Syrakuza pada, Palermo stolicą Emira. Po spoczynku i latach niewoli Roger z Normandji, szeregiem czynów bohaterskich osobną stanowiących epopeję, opanowuje wyspę. Po przejściu czasów, dziedziczy ją korona Hohenstaufów, pada głowa dziecinna Conradina (1268) dom Andegaweński stawia krwawą stopę na tułubie narodu, a wszystko kończy się łoną krwawą nieszporów sycylijskich, od której blednie i umilkła Etna, lud pokonywa tyranów francuzkich, by uledz nieszczęsny, hiszpańskim. Nie lepsze dalsze jego koleje, dopiero jedność Włoch od 1848 i 1856 r. przyniosła więcej pomyślności na pastwę słońca i wulkanów wydanym, a wulkanicznym mieszkańcom, którzy jeszcze dwa lata temu pokusili się o republikancką ruchawkę. Sycylja, ten szpichlerz dawnej Europy, stanowi epilog Włoch, bez niej Włoch nie ma, ona, według prawdziwych słów Goetego, jest ich kluczem, tam dopiero kończy się życie włoskie. Najpiękniejsza rzecz w Sycylji, to bujność jej dziewiczej, namiętnej natury, wegetacja to, kędyindziej nieznana, ma coś wschodniego, ale przytém barwy tak potężne, zieloność tak żywą i złotą, tak silnie sprzeciwiającą się błękitom morza i nieba, horyzonty też złotych, falujących barwy tak jaszczurczemi, błyszczące złotemi owocami i krasą winnic, runami śnieżnych trzód, — wonie pomarańczowych i mirtowych gajów tak upajająco miotane w błękitnym eterze, wzgórza dzikie kaktusów i aloesów na czarnych, skalistych opokach tak bezczelnie w gorący błękit najeżone i rozpędzone ramion miljonem, łany zbóż taką falą wiejące, i drzewa tak ugięte pod ciężarem Pomony, winnice takie krasne owocem Marsali, że upojone oko nie odnajdzie kędy indziej tych wdzięków — raz tylko, spuszczając się ku morzu w Hiszpanji, w okolicach Malagi, mającej już afrykański charakter, miałem podobne wrażenie, choć nie tak piękne, bo w motyle barwy mniej bogate. Pierwszy rzut oka na wyspę, a głównie na Palermo nie odpowiada oczekiwaniu. Starość skał i brak harmonji w linjach natury, konturach i zarysach to sprawia, ztąd pewne ubóstwo piękności, które czuć daje, że mimo wszystkiego Neapol zawsze pozostanie Neapolem; że on jak Apollo natury w harmonji boskiej, z helleńska uśmiechnięty, zawsze pierwszym pozostanie. Na pierwszy rzut oka, jak dwie kulisy ujmujące Palermo, wychodzą z morza dwa skaliste potwory o mamutowych kształtach, jeden to sławny Monte Pellegrino z grotą św. Rozalji patronki miasta, dźwigający jej z dali błyszczący posąg, zdaleka zdający się być boromejskich rozmiarów, drugi — cap Zaffarano, wybiegający w daleką dal nad smugi morza i osadzony raptem nad głębią ostrą piersią, ni to miecz z kła nosorożca zatknięty olbrzymio, pierś jego ostra i szorstka prześlicznie przecina jednostajności fal i nieba. W pośrodku tych kulis czworobok śnieżnych domostw nad niemi parę wieżyc, i kopuł, to Palermo, na które tak czekało oko. Przy odjeździe, niknąc, daleko piękniej wygląda przepadając w toniach, niż z nich się wyłaniając. Ulice miasta szerokie i regularne, ozdobione suchotniczemi posągami hiszpańskich Filipów, z pięknego brązu połyskującego z koryncka, dzieli się miasto na cztery dzielnice, główna arterja Toledo, czyli Corso, smutnie przypomina Toledo Neapolitańskie, i Corso Rzymskie dla mnie pierwszą i ostatnią z ulic świata. Rzut oka jednak od początku . . . . . aż do morza jest jedyny w swym rodzaju, i bardzo imponujący. Główna oryginalność, to pewna cecha maurytańska tu i tam, choć słabiuchno się odzywająca, która urozmaica jednostajność domów i przeważne barocco, ale barocco włoskie, więc czasem znośniejsze. Do pałaców przytulone świeże ogrody, wiejące palmami i warkoczami wierzb babilońskich, w źródła w marmurowe pierścienie ujęte, melancholicznie zapatrzonych, ożywione ruchem śnieżnych głębi i girlandami motyli.

Życie dopiero wieczorem się ożywia, według przysłowia, tylko psa lub Anglika w południe spotkać można; wieczorem na Corso piękne Włoszki z pod kwewów czarnych i motylich wachlarzów wabią cię wdziękiem prostoty tak ujmującej a nadającej się do idealizowania, że pojmiesz jakim sposobem na tej ziemi powstał typ madonny Rafała, tak jak gdzieindziej drugi i ostatni typ narodowy Murylla. Palermo dzieliło losy Sycylji; wzniosło się kosztem Syrakuzy za Normandów. Plac czterech Cantonów, jak cztery pałace stanowiącej, o czterech studniach i czterma ramionami równo ku morzu w krzyż goniący, jest jedną z ciekawości świata; dalej ku końcu Corso, jedyny w swym rodzaju klasztor, z olbrzymiej massy granitu o eskazicelskiej tradycji, z oknami zakratowanemi, lecz wolno otwartemi z balkonami, na ulicę dającemi, z tych okien wyjątkowe pozwolenie mają zakonnice patrzeć na gwar świata, którego się wyrzekły i białe zakwefione postacie widne tam jak lilje wychylone poza mur ogrodowy, zdające się z smutkiem, może tęsknotą poglądać ku dołowi, co za sporności!

Najniesmaczniejszą z wspaniałych katedr jakie znam, wydała mi się palermitańska; mikstura gotycyzmu z maurytanizmem; ale tak dziwacznie i z niesmakiem zespolonych mimo pięknych szczegółów, że całość staje się tylko parodją majestatycznej katedry w Toledo lub cudownej Giraldy Sewilskiej. Ta cała zaś mieszanina pokryta kopułą melonowatą a la Bernini, której odpowiadają poniżej małe kopułki takież, kragłe na gotyckich ścianach katedry osadzone. Wnętrze przedstawia czysty piękny

(Dodatek.)

renaissance, ale wybielony kasarniano, tęczowe łuki perspektywicznie pięknie spierają się na przepysznych kolumnach z zielonego marmuru, rabowanych z świątyni Junony Syrakuzańskiej. W kaplicach wspaniałe Sarkofagi Rogera II. jego córki Konstancji, i poetycznej pamięci ces. Fryd. II. († 1250). W r. 1781, znaleziono niezmienione, z całym majestatem śmierci uśpione ciało cesarza.

Reszta kościołów mniej ciekawa, kościół św. Maria della Spasimo, posiadał obraz Rafaela Spasimo, który tak dziwnie przeszedł koleje, i wyrzucony przez morze, w pół pęknięty dostał się do Madrytu, gdzie się znajduje. Grota św. Rozalji, ukochanej patronki Sycyljanów, wznosi się na monte Pellegrino nad morzem, jest to ich Częstochowa, o stalaktytowem sklepieniu i rzucie oka na przestworza natury. Zamek królewski, to gniazdo orle Rogera, atmosferą bohaterską przepełnione, maurytańskiemi szczątki wdzięczne, a wstrząśnieniami czasu zniszczone prawie zupełnie. Muzeum nie liczne ale arcyważne, szczątki to z świątyń greckich Girgenti i Selinuntu, metopy o rysunku i plastyce świetnej epoki, odznacza się wśród nich Pallas zalecająca wojownika, Dianna karząca Akteona, a nadewszystko zwycięztwo Heraklowe nad Pentesileą i jedno przepyszne torso. Obrazy głównie szkoły neapolitańskiej. Miejsce najgodniejsze pielgrzymki, to ponad Palermo na wesołém wzgórzu zawiśnięte Monreale; wycieczka parogodzinna, jedna z najbardziej uroczych jakie odbyć można. Zwolna szerokiém, wystawami upstrzoném Corso i placem katedry mija się Palermo, jego fontanny, posągi place i ogrody, nieznacznie a szybko wznosi się gościniec w górę po drodze domki ,wieśniaków i kapliczki cudotwórcze tak zbudowane, że są studzienkami, zbudowanemi w kształt kwadratowych wieżyczek, z których szczytu po murze sączy się woda. Ruch gościńca ciągły i żwawy, postacie jaskrawe w tumanie złotego kurzu mrowiące się z gestem i wrzawą. Wózki żółte dwukołowe, zupełnie do kibitek podobne, ciągną kupsko nasypanych w nie ludzi lub rzeczy. Dziwna! ten sam kształt wózka przelatującego błyskawiczną komunikacją w ostatecznych krańcach północy, i tu w afrykańskim upale.

Kibitka ta jest dziełem fantazji ludowej, od kół do dyszla pomalowana, na żółtém tle po czterech ścianach skrzyni siedzeniem będącej, scenami z historji świętej, wskrzeszenia, uzdrowienia, uwolnienia opętanych, świętą Rozalję cudotworną, ewangelistów i t. d. przedstawiających. Każdy kawałeczek wózka, bodaj główeczką Anzoletta zamalowany, dwa jego żółte koła lecą szybko a ciągnie jeden osioł, którego tualeta nie ma równej sobie. Cały w uprzęży błyszczącej blaszkami, upstrzony w piórka cudaczne, u czoła trzy liście kity a chomont jak gotycka wieżyca u szczytu jego zwierciadełko, wśród dzwoneczków a nad niem madonna con bambino! jakże pyszni się ten osioł! żaden tytuł tak nie uwydatnia! Wystawcie sobie całość tego ekwipażu wyładowanego nieraz piętnastu osobami, ciągle krzyczących, gestykulujących, czubiących się serdecznie, a jeśli z góry rozpędzony osioł nosem zaryje, pudło dwukołowe zwraca się dnem do góry i tuzin głów przechylonych ku ziemi, *alterum tantum* nóg i nóżek fikających w powietrzu. Wózek ten świadczy, że lud ten jest poeta ale o wybujałej, kaktusowej fantazji gorącém słońcem wypiastowanej bez kierunku i miary. Horacy mógłby go poddać zamiast swej syreny na risum teneatis amici. Ta poetyczność ludu przypomniała mi, jak raz jadąc z pewnym nowo utylitarnym Galicjaninem nasłuchałem się jego utyskiwań nad grzeszną skłonnością Polaków do poezji, która z nich zrobi Indjan, i pariasów społecznych i nie wiem już nie co. Exempli gratia opowiedział mi bez gracji jako naftą zbogacony włościanin z Borysławia, z poblizkiego miasta aż do domu kazał idąc pieszo, iść przed sobą muzyce, za którą postępując trzymał w ręku lusterko, w które patrzył i tak sobie gościńcem tańcował pod dobrą datą aż do domu. Proszęż pana! cóż to za różnica od kolonisty niemieckiego, który jeśli się zbogaci, jakżeż inaczej swych dochodów używa! u nas nie ma rady! taki on szelma poeta! Zacny obserwator mógłby i w Sycylji podobnie poezją kwalifikować. Wszędzie po drodze gwar i śmiech, po chatach tamborino i saltarello (tarantella) tu znów osioł objuczony piramidą głów kapuścianych kroczy powoli, (czasami dzieje się odwrotnie, głowy kapuściane dźwigają osła) tam znow mały wózek jednym koniem ciągniony pogania bosa kobieta o kruczych opylonych warkoczach z chustą na głowie kwadratową, za wózkiem idzie chłopczyna pięcioletni, który niby popycha go oburącz pod górę, wierzy zaś w całej naiwności, że to nie konia siła lecz jego popychanie posuwa naprzód wózek, o szczęśliwy chłopczyno! ileż w życiu społecznem masz ludzi sobie podobnych! Jadąc dalej, jak cała morska płaszczyzna podnosi się w górę ni to w mglistem powietrzu uwiśnięta ozłocona tłami słońca schodzącego ku jego głębinom, a ponad nią Moreale dziko rzucone śród winnic, o białych domach i balkonach pełnych ciekawych główek. Największe wśród tej drogi wrażenie to amfiteatralnie ku morzu rozłożona dolina — to słynna Concha d'oro otaczająca Palermo, dla swej bujności tak zwana, wygląda na mały raj ziemski, prześcigający się w bujających gajach, sadach kwitnących, falistych łanach, winnicach, o zieloności malakitowej, nad któremi złoto-pomarańczowa łóna słoneczna, sypie się namiętnemi tły i blaski bajecznemi! bujność tej doliny, jej półkole pełne gracji i zaokrąglenia, dwojga nad morzem splecionym ramionym podobne; tyle tam darów Flory i Pomony tyle miłości macierzyńskiej Cerery i Izydy podającej pierś wezbraną ustom tysiąca dzieci, jak ona Caritas nieprzebranej miłości, tajemnic a miłosierdzia. Jednak wyznam, że mimo całego uroku doliny Concha d'oro marzyłem tęsknie o dolinie Kowieńskiej, i że wolę rzut oka z starej baszty Przemyskiej ruiny, dający na zupełnie podobnie zatoczoną dolinę Sanu wijącego się w pięć załomów srebrzystym wężem wśród wiklin słowiczych; może przeto, że te żawe wody i krwawe brzegi pamiętają nieśmiertelne dzieje nasze, a fala zbóż majowych domaszna, westchnieniem łanów pszennych powiewa od pól Przemyśla do pól Sandomierza...! Jam wspominał pamiętne i w duszy pozostałe widoki z zamków Czorsztyna, Odrzykonia, Halicza, Kamieńca i Krzemieńca, Trębowli i Jazłowca, Wiśnicza, Melsztyna, Rożnowa i Wawelu! bom je wszystkie widział i zaklął, wspomnieniem mem pociągnąłem ku innym.

Kościół w Moreale, jedyny w swym rodzaju, wielkie i niezapomniane sprawia wrażenie. Po zewnętrzności skromnej i prostej nikt nie przypuści wewnętrznego przepychu Wrota główne spiżowe rzeźbione przez Bonanusa z Pizy 1186 nie zachwycą tego, kto widział drzwi Ghibertych Florenckie, i Jowannich z Bolonij w Pizie, (katedra) ale oprawa tych w łuk z Maurytańska zatoczony, w śnieżny marmur i mozajki oprawny, pyszni się w słońcu jak tysiącem klejnotów, i otwiera tą muzyką barw, wejście do harmonji dalszych mozajk. Mozajki są głównym skarbem tego zabytku. Nie dadzą się one przyćmić ani św. Zofji Konstantynopolitańskiej, ani Rawennie w mozajki nie przebranej, a iście bardziej bizanckiej niż dziś samo Bizancjum, ani nawet mozajki pyszne św. Marka w Wenecji, jeźli w skutek rozwinięcia z czasem rysunku i kolorytu je wyprzedziły, to nie w ujęciu i przekonaniu Bizanckiej tradycji, i g r o z y m i ł o ś c i w e j, w swej prostocie chwytającej ręką żelazną za serce. Groza ta Jehowiczna wprawdzie, a przytém wyraz miłości tak gwałtowny, ojcowsko surowy, tak artystycznie dokonany w olbrzymiej postaci Zbawiciela świata siedzącego na złotém tle kopuły i patrzącego ku padołom ziemi, że wstrząsa człowiekiem i mimowolnie zgina kolana.

Dokończenie nastąpi.

Nowe Książki.

O drewne-polskom jazykie do XIV. stoletji. Soczinenije J. Boduena de Kurtene. Leipzik. Typogr. Bera i Hermana, 1870. (Lexig 8. str. VIII, 99—84 — IV).
(O staro-polskim języku do XIV. wieku, dzieło J. Beaudouin de Courtenay. Lipsk u Bera i Hermana 1870 r.).

O rozprawie tej wspominaliśmy już raz w piśmie naszém; sam jej przedmiot i język w którym napisaną została zwracał uwagę. Mimowolnie narzucała się myśl, że studjum o języku polskim do XIV wieku, wydane po rosyjsku, i przyjęte w Petersburgu z wielkiem uznaniem pracy, mogło — prawie musiało mieć pewną tendencją dowiedzenia językowi temu, iż z drogi prasłowiańskiej wyboczył. Z tem większą ciekowością oczekiwaliśmy rozprawy, i — szczęściem zawiedliśmy się w przypuszczeniu.

Jest to bowiem rzecz ściśle naukowa, z trudem wielkim wykonana, poszukiwanie sumienne, na którém zarzut tendencji żadnej ciężeć nie może. Tem ważniejsze ono, iż na tém polu pierwszém jest ze znajomością przedmiotu i przygotowaniem właściwém, wykonaném. Autor w przedmowie ze skromnością wielką wyznaje, iż w swej pracy po dokonaniu jej sam dostrzegł wiele uchybień w formie, porządku i treści rozprawy, ale już do poprawienia ich zapóźno było. Składa w niej podziękowania za pomoc pp. Sreżniewskiemu, Hilferdingowi, Kunikowi, Przyborowskiemu, Estreicherowi i ks. L. Malinowskiemu, którego przyjacielem i towarzyszem nazywa.

Język polski do XIV. w., jak wiadomo jest lub być powinno, nie ma prawie piśmiennych pomników. Ślady jedynie jego stanu pierwotnego pozostały w szczupłej, pojedynczych wyrazów gromadce, które po aktach i dokumentach łacińskich są rozrzucone. Z tych to elementów w ułom-

nym stanie do nas doszłych, niepoprawnie i dowolnie pisanych, ledwie cień jakiś stanu języka przedstawiających, p. Baudouin, zebrawszy je, ustawiwszy, porównawszy, z mocy praw ogólnych ukształceniu się mowy ludzkiej przewodniczących, wyciąga wnioski, jak Cuvier ze szczątków przedpotowych zwierząt.

Metoda jest ścisła, oparta na logice, na analogjach, na prawach genezy, — a jak najmniej domysłami wypełniająca. Za podstawę jej służy materjał naprzód jaki się zgromadzić dało, a ten składają około 5,000 wyrazów polskich w sposobie słownika ułożonych ze wskazówkami źródeł i wieku. Przerażającą tę robotę wykonano z dokładnością zadziwiającą. Szkoda tylko, że druk lipski wcale się korektą należytą nie odznacza i przepełniony jest omyłkami. Wszędzie indziej one mogą być mniej niebezpieczne, ale w takiej *oeuvre de précision* — wielce utrudniają jej użycie. Oprócz zbiorów aktów i dyplomatów, wydanych w różnych czasach, kronik, zabytków praw; użył autor jako polskich źródeł „Bogarodzicy, ułamków Biblji w Saros Patak, Psałterza Małgorzaty i wielu okruchów, które się w różnych znajdują pamiętnikach, dziełach o literaturze i t. p. Nic tu nie opuszczono co do zbogacenia słownika lub objaśnienia go służyć mogło; nie gardząc rzadkiemi pracami poprzedników na tém polu, jako Rakowieckiego, Wiszniewskiego, Maciejowskiego, Bielowskiego, Małeckiego, Malinowskiego.

Rozprawa składa się ze wstępu, obejrzenia i oceny krótkiej źródeł i dzieł pomocniczych. Część pierwsza. Fonetyka: o dźwiękach, o przemianie dźwięków, na zasadzie ułatwienia i dogodności wymowy; przegląd dźwięków pod względem morfologicznym, o znaczeniu ich w mechanizmie języka, różnica zgłosek długich i krótkich, dźwięki nosowe (samogłoski). Część druga, morfologja, etymologja, tworzenie się wyrazów, fleksje, przemiany. Część trzecia, właściwość djalektów polskich (małopolsko-szlązki; wielkopolsko-kujawski, mazowiecki, (mazurski). O pruskim brak danych). Część czwarta, porównanie staropolskiego języka do XIV. w. z najbliższym mu językiem połabskim — (Serbów łużyckich) na Pomorzu, Rugji, w mekleburgskiem. Kończy rozprawę słownik wyrazów historyczny, naprzód czysto-słowiańskich, potem przyswojonych po przyjęciu chrześcijaństwa, niezrozumiałych i wątpliwych.

Na ostatku położone są wnioski, które autor wyciągnął ze swych badań. Byłoby do życzenia przełożenie rozprawy tej na język polski i poprawniejsze jej wydanie.

Dr. Omega.

Rozmaitości.

— **Zarząd Muzeum w Rapperswyl** uprosił do zbierania darów i funduszów w Krakowie W. Wiktora Bylickiego, w Księztwie Poznańskiem W. Maksymiljana Jackowskiego (w Pomarzanowicach pod Pobiedziskami). Oba nie odmówili swej pomocy zakładowi.

W tych czasach wyjątkowo nabyty został zbiór autografów, sztychów i pamiątek ze Szwecji nadesłany przez p. H. Bukowskiego. Z Westfalji nadesłano szacowny zbiór numizmatyczny polski i szwajcarski (między innemi medal na wzięcie Moskwy) — oraz portrety olejne Kościuszki i królów polskich.



— **Osobom**, które się dotąd były łaskawe zgłosić o książki, jak najtroskliwiej wysłane zostaną według życzenia, najdalej około d. 1. Lipca. Zastosujemy się do żądań, a w razie omyłki na nasz koszt odmieniemy.

Od Redakcji.

Od wielu życzliwych nam osób otrzymujemy z różnych stron zapytania, czyli w istocie z ustaniem „Tygodnia“ przestajemy pracować na polu dziennikarskiem w sprawach tych, które od r. 1868 dotknięte były już to w wydawanych przez nas **Rachunkach**, już w innych pismach, a na ostatek w „Tygodniu.“ — Jakkolwiek obecny stan zdrowia gwałtownie domagał się pewnej przerwy w zajęciach po latach spełna czterdziestu, chwila zbyt jest ważną, położenie nasze nazbyt wielkie wkłada obowiązki, ażeby z obojętnością zamilknąć można. Niemogąc wydawać „Tygodnia,“ zapewniliśmy sobie współudział i współpracownictwo w dzienniku „KRAJ,“ wychodzącym w Krakowie i od 1. Lipca wchodziemy do Redakcji jego, pewni będąc, iż w kwestijach zasadniczych podzielając przekonania dziennika, w zapatrywaniu się też na ich rozwinięcie, różnić się nie będziemy.

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor: Józef Ign. Kraszewski w Dreznie. — Nakładem i drukiem J. I. Kraszewskiego w Dreznie.